

Bogusław Śliwerski

Uniwersytet Łódzki

Humanistyka – po coś, czyli recenzja rozprawy Lecha Witkowskiego na ekranie krytycznego myślenia

Po co nam humanistyka? Zdaniem autora książki o humanistyce stosowanej - Lecha Witkowskiego humanistyka musi być po coś, a więc stanowić wartość heteroteliczną, a nie autoteliczną¹. Wynika to tak z tytułu jego najnowszej monografii oraz z wprowadzenia do jej zawartości. Jego zdaniem naiwne, sentymentalne i niedojrzałe jest przekonanie, że humanistyka może być zarówno bezinteresowna, jak i wdrożeniowa. Jej bezinteresowność jest pozorem, gdyż (...) *staje się de facto interesownym utrwalaniem prawa do zaślepiającej odmowy poważnego pogłębiania własnego bycia w świecie i do wygodnego, a maskowanego spływania w odbiorze największych dzieł humanistów „kompletnych” w ich dawaniu do myślenia, odnoszących refleksję do życia, jego obszarów i pułapek (aż po zło - zbrodnię i ludobójstwo).* (s. 19)

Dali Bóg, nie rozumiem tej argumentacji, skoro nie wszyscy humaniści (...) *...utrwalają prawo do zaślepiającej odmowy poważnego pogłębiania własnego bycia w świecie i do wygodnego, a maskowanego...* (tamże). Skąd Autor czerpie tę rację, skoro w rozdziale poświęconym dwoistości autorytetu pracownika socjalnego upomina się o autoteliczne wartości? Co zatem stało się przesłanką odmówienia humanistyce i jej twórcom prawa do jej bezinteresowności, ani do bycia po nic, ani do bycia dla kogoś czy czegoś, że trzeba było ująć jej prymarny autoteliczny charakter nawet w tytule książki? Czyż nie kłóci się to z jego tłumaczeniem, że humanistyka traci swoją autoteliczność, kiedy (...) *ulegający tej interesowności i kierujący się mierzalnym zyskiem nie są w stanie (i to jest ich nierozpoznana często strata) uświadamiać*

¹ L. Witkowski, *Humanistyka stosowana. Wirtuozeria, pasje, inicjacje. Profesje społeczne versus ekologia kultury*, Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls 2018, ss. 790.

sobie własnych ograniczeń ani dostrzegać alternatyw projektujących inny sens i wartość własnego zaangażowania. Tacy „humaniści”, nieświadomi szkodenia humanistycy, stają się argumentem przeciw otwarciu na pełnię refleksji, skoro to „bezużyteczne głupstwa, jakaś historia, jakaś filozofia, po co to komu? (tamże)

A jednak takie odczytanie jest mylne, gdyż L. Witkowski upomina się o humanistykę, która jest pochodną wirtuozerii, pasji i inicjacji, o ile są te fenomeny takimi, jakimi on ich doświadcza w kontakcie z dotychczasowymi wytworami, dziełami poddanych własnym badaniom wytworom humanistyki. Jego perspektywa jest - jak twierdzi - radykalnie odmienna, upominająca się (...) *o zrozumienie jej wagi i stosowanie... w samej humanistycy w interesie jej samej i jakości praktyki społecznej w profesjonalnym wydaniu rozmaitych sfer życia oraz form instytucjonalnych.* (s. 20)

Wydawałoby się zatem, że dla tego filozofa humanistyka stosowana to taka, która jest zaangażowana w autoteliczny sens i wartość humanistyki jako takiej. To, czy stanie się ona impulsem dla szeroko pojmowanej praktyki społecznej, ekologii umysłu, to już jest inna kwestia. Humanistyka nie jest w kontrze do czegokolwiek, co nią nie jest, ale co może czerpać z jej źródeł, zaś Humanista (...) *nie uniknie ani źródłowych powrotów, ani uwspółcześnionych dzięki nim przewrotów, gdy odważy się czytać wielkich ponad głosami ich następców, nie zawsze zdolnych oddać im sprawiedliwość w nowych kontekstach.* (s. 21)

W takim miejscu zawsze pojawia się pytanie o rozstrzygające i rzekomo obiektywne kryteria rozpoznawalności WIELKICH od ich następców, skoro z dziejów humanistyki wiemy, że cecha wielkości zależy w dużej mierze od tych, którzy ją komuś przydają (najczęściej zresztą lokując samych siebie w tym gronie). Po co mieszać sprawiedliwość do odczytywania dzieł innych? Jaką sprawiedliwość ma autor na myśli? Może sprawiedliwością być przecież spychanie do niepamięci, nieobecności tych, którzy ustawicznie upominali się także w swoich rozprawach o wyróżnienie ich jako wybitnych, wielkich z powodów zakorzenionych w kontekstach historycznych, prawnych, politycznych, społecznych, kulturowych itp.?

Czy przedstawiciel nauk humanistycznych, a tym bardziej społecznych powinien tak samo jak L. Witkowski organizować dyskurs humanistyczny, podejmować wysiłek pozyskiwania (...) *instrumentów przydających tej przestrzeni potencjału zupełnie innej siły sprawczej, a nawet zbawczej wobec prób przekreślania wartości humanistyki w funkcjonowaniu uniwersytetów i w wyposażeniu kulturowym adeptów wielu obszarów szkolnictwa wyższego?* (s. 22) Autor przywołanej tu monografii nie musi zapewniać czytelników o własnych zasługach w walce z otwartą przyłbicą z psychologami, pedagogami

czy filozofami, by niejako zobowiązać ich do wdrożenia jego studiów do „humanistycznych zastosowań w Polsce”, gdyż czytelnicy mają prawo do osobistego odczytania także jego publikacji, bez powyższego imperatywu. Nikt nie będzie klonem L. Witkowskiego, dzięki czemu może przekroczyć stan jego dokonań na miarę własnej metodologii badań oraz przyjętych przez siebie założeń czy posiadanych instrumentów poznania.

Właśnie dlatego warto czytać książki także tego filozofa, by móc nie zgadzać się z jego miejscami dość autorytatywnym stylem perswazji osadzonej w niezrozumiałych dla zdecydowanej większości uwikłaniach osobistych dróg i problemów autora w różnych środowiskach akademickich. Po co je nieustannie przywoływać? Czyż na tym ma polegać humanistyka stosowana, że stosuje się miejscami jej treść jako oręż do zadawania ran minionym przeciwnikom, przełożonym, merytorycznym krytykom, a unikania ostrza krytyki wobec tych, których ani dzieła, ani dokonania tego nie usprawiedliwiają? Może w tym kryją się konteksty jakiejś sprawiedliwości?

Znamy humanistów, dla których nauka w stylistyce felietonu jest orężem do zastosowania jej w walce politycznej o władzę w państwie. Stąd ich nawet partyjne zaangażowanie w próbę ingerowania w politykę i ludzi władzy albo opozycyjną wobec niej aktywność. Jedni konsekwentnie trzymają się własnej formacji politycznej (np. Jan Hartmann - lewicy) a inni zmieniają swoje afirmację w zależności od tego, czy uprawiana polityka im odpowiada (np. Jadwiga Staniszkis - raz za prawicą, innym razem za lewicą). Czyż nie są humanistami? Są. Czy powinni zajmować się Gregory Batesonem lub Erikiem H. Eriksonem, by odczytywać ich dzieła z taką samą pasją, która natchnęła do twórczej pracy Lecha Witkowskiego? Nie podzielam tego, bowiem w świecie globalnej nauki można znaleźć wielu, wciąż jeszcze nieodkrytych dla naszej teraźniejszości czy przyszłości humanistów i ich dzieł.

Niech każdy, kto z pasją prowadzi badania, sam dokonuje wyborów ich przedmiotu, określa ich cele, formułuje własne problemy i stara się je rozwiązywać bez naśladowania tak L. Witkowskiego, jak i innych humanistów, których tu nie wymienię, by nie być posądzonym o stronniczość. Warto czytać książki L. Witkowskiego, podobnie jak książki wielu innych autorów, byle właśnie czynić to z pasją, wirtuozerią i inicjując własne, niezależne podejście badawcze. Autor przyznaje, że określenie „humanistyka stosowana” jest pochodną postulatów Marii Janion, która przypisała temu określeniu miano praktyki i myśli pomagającej tej praktyce (...) *rozumieć samą siebie w różnych sferach działania kulturowego i społecznego*. (s. 37). Nie jest to słuszne podejście do humanistyki, gdyż każda nauka stosowana jest nauką praktyczną, aplikacyjną. Tak jest z psychologią, socjologią, pedagogiką,

naukami o polityce czy mediach itd. Przypisanie zatem humanistyce zwrotnej relacji między nią a praktyką skutkuje imperatywem typowym dla inżynierii społecznej czy psychicznej manipulacji, tymczasem humanistyka w zakresie swoich badań podstawowych staje na straży człowieczeństwa, humanum i autotelicznych wartości.

Rozumiem intencję Marii Janion i jej epigona w tym zakresie, by praktycy zaczęli myśleć, czerpać z idei, teorii i modeli inspiracje do własnych praktyk. Jednak humanistyka musi być w swej istocie poza zobowiązaniem do jej aplikacji w praktyce. Inaczej będzie dalej redukowana do zastosowań jako jedynie zasadnych naukowo i godnych finansowo wsparcia. Mam nadzieję, że nie znajdą się inżynierowie środowisk czy dusz ludzkich, którzy po przeczytaniu niezwykle interesującej monografii Lecha Witkowskiego postanowią wdrożyć ją do naszej rzeczywistości społecznej czy psychoduchowej. PozwólmY czytelnikom suwerennie rozpoznać sens zawartych w książce przesłań, idei czy teorii, by kontynuować ich nowe odczytanie. Aplikując je bowiem w praktyce zaprzeczają temu, co jest kluczowe dla humanistyki.

Książka jest zbiorem opublikowanych wcześniej tekstów pomniejszych, a tu zebranych i zamieszczonych w pięciu częściach, którym autor nadał miano – profili. Każdy poprzedza krótkie wprowadzenie, w którym otrzymujemy uzasadnienie doboru tekstów do danego profilu z sugestiami mającymi nadać im dzisiejsze przesłanie. Z tego też powodu monografia jest opasłym tomem liczącym 790 stron, którego objętość na pewno nie zachęci młodzieży akademickiej do jego studiowania, jeżeli nie zostanie jej zadany lub nie będzie pochodną osobistej, a zatem jednostkowej pasji tych najzdolniejszych. Autor usiłuje zresztą uprzedzić stan możliwego zniechęcenia z powyższego powodu ewentualnych czytelników pisząc: *To nie jest gruba książka. Między okładkami są tu ukryte jednocześnie ze trzy tomy, które mogłyby funkcjonować osobno, gdyby nie to, że wzajemnie się dookreślają, przenikają, stopniowo przybliżają narastające w ich tle motywy. Zapowiadają się, sprzęgają i opracowując wspólnie materiał refleksji, którego waga wykracza poza ramę, w jakiej został pierwotnie osadzony, służąc zupełnie innym wyzwaniom.* (s. 23)

To jest, moim zdaniem, mechanizm obronny, rodzaj racjonalizacji, który niestety nie usprawiedliwia takiej struktury i objętości książki. Trzeba powiedzieć prawdę czytelnikom, że opublikowane wcześniej w innych pracach zbiorowych teksty niewiele znaczą, gdyż mało kto do nich sięgnie. One de facto przestają istnieć po wydaniu w pracy zbiorowej, gdyż znają je, jeśli w ogóle mieli chęć zapoznania się z nimi, tylko ci, którzy w tych tomach także mają własne artykuły. Nie oceniam zatem negatywnie faktu zgromadzenia

wszystkich tekstów dotychczas rozproszonych w jednym tomie, tylko nie akceptuję towarzyszącej temu argumentacji. W takim zbiorze mamy bowiem toksyczną, bo wielokrotną powtarzalność tych samych fragmentów, źródeł, treści a nawet komentarzy, co - wbrew sugestii autora - nie jest zasadne. Witkowski pisze:

W książce tej zbieram prace rozproszone z ostatnich lat oraz miesięcy i czynię to nawet z zaskoczeniem, że narrację budowałem osadzoną w konkretnych sytuacjach, najczęściej za wąskich dla jej ogólnej teoretycznej wymowy, nadmiernie instrumentalizując odniesienia i intensywnie ucząc się w biegu, ciągle od nowa i ciągle nowych rzeczy. Motywy w nich ułożone powracają, powtarzane, jak gdyby miały tym sposobem nabrać więcej znaczenia, a przede wszystkim zostać dostrzeżone, usłyszane, potraktowane na serio – jednym słowem: by stały się widzialne i zdolne do działania. (s. 23)

Absolutnie nie podzielam tej argumentacji. Rozumiem, że od napisania jednego artykułu ileś lat temu autor czegoś nowego się nauczył i w kolejnym, jaki opublikował dokonał drobnego uzupełnienia czy dopełnienia racji. Jednak dla czytelnika, który go nie zna, nie towarzyszył jego wystąpieniom na konferencjach, nie czytał systematycznie artykułów i książek, a są one w swej istocie swoistym po nich przewodnikiem, taka konstrukcja jest odrzucająca. Ile razy można w opasłym tomie czytać te same stwierdzenia i normatywne zobowiązania, moralitety czy utyskiwania na kogoś i na coś, skoro są one wyjąłkowane z realiów akademickiego świata i nauki? Zrozumię ją tylko ci, którzy być może rozpoznają je w swoich jednostkach czy strukturach. W tym sensie za absolutnie nieuczciwe i nierzetelne uznaję powtórzenie tekstu z tomu dedykowanego Tadeuszowi Lewowickiemu, w którym Lech Witkowski poświęca swoje krytyczne uwagi Letnim Szkołom Młodych Pedagogów przy Komitecie Nauk Pedagogicznych PAN.

Jest to o tyle nierzetelne, że nie zna, a zatem i nie rozumie, wbrew zapewnieniom o dziesięcioletnim kontaktom w ramach doraźnej jednak współpracy z tymi Szkołami, czym one są w istocie, na czym polega ich wyjątkowość organizacyjna, strukturalna, merytoryczna i metodyczna oraz kadrowa, a pozawala sobie na poślanek. Powód takiej postawy nie będzie znanym czytelnikom tej książki, bowiem autor nie raczył go rzetelnie opisać. Tymczasem wśród zaproszonych do wygłoszenia referatów w Sandomierzu znaleźli się samodzielni pracownicy nauki, z którymi personalnie Witkowski był w konflikcie, także administracyjnym. Cóż to za sztuka obrażać swoich adwersarzy bezimiennie, ale tak, by wydawało mu się, że ich to dotknie? Po co to czynić, skoro nie temu służą Letnie Szkoły, by załatwiać w ich trakcie osobiste porachunki, w dodatku z jednostronnym naświetleniem ich

rzekomych powodów? To z kulturą akademicką i z tym podglebiem, o które tak się ów autor upomina, nie ma nic wspólnego., a nawet temu zaprzecza.

Uczony powinien w naukowych rozprawach posługiwać się faktami, źródłami, a nie sypać na prawo i lewo insynuacje, pomówienia, które są osobistą próbą odreagowania na jego antagonistach. Nie jest dopuszczalne i naukowo racjonalne traktowanie monografii jako potocznego forum do zgeneralizowanego naruszania czyjejs godności, do osądzania całego pokolenia młodych i starszych akademików. Nie ma to nic wspólnego z ekologią kultury, choć jest typowe dla postmodernistycznie stosowanej przez także tego autora zasady wolności interpretacyjnej jako dowolności i braku odpowiedzialnego odnoszenia się do dokonań przeszłości osób, których osiągnięć nie zamierza uznawać z osobistych, a nie naukowych powodów. W tym sensie zamieszczenie Listu do uczestników Letniej Szkoły jest strategią blefu kulturowego i rytualizacją własnych uprzedzeń, bowiem autor już nie raczył zaznaczyć chociażby w przypisie, że jest publikacja naukowa odsłaniająca istotę kulturową i akademicką tej formy pracy Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN z młodymi naukowcami².

Ba, skoro już L. Witkowski ma tak złe zdanie na temat uczestników i kadr Letnich Szkół, to dlaczego nie przywołuje ich z imienia i nazwiska oraz nie polemizuje z ich rozprawami? Tymczasem po każdej Szkole publikowane są Zeszyty Młodych Pedagogów, w których zamieszczane są najlepsze artykuły z ich wystąpień? Nie chciało się Witkowskiemu ich przeczytać? Szkoda. Zostawia bowiem ślad swoim uprzedzeniom, skrywanych przez siebie antagonistom. Jeśli na tym ma polegać humanistyka stosowana, to ma ona wymiar dehumanizujący. Oto cytat z „Wprowadzenia”: *Powtarzając niektóre wątki, na serio prowokuję i usiłuję przywołać także do porządku akademickiego niektórych badaczy i dydaktyków, a tym bardziej autorów podręczników, którzy z ogromnym opóźnieniem recepcyjnym i brakiem rozmaitych lektur, jakie się im podsuwa, utrwalają obraz dyscypliny (pedagogiki społecznej, pedagogiki ogólnej itd.), tak jak gdyby wolno było ją izolować od istotnych dla niej impulsów kulturowych, społecznych i filozoficznych.* (s. 31)

Nie widzę powodu, dla którego wszyscy powinni czytać to samo i tak samo, co wziął na warsztat badawczy Lech Witkowski, skoro on sam czyni to niezwykle interesująco u schyłku swojej akademickiej aktywności zawodowej. Dopiero jako profesor tytularny zaczął czytać rozprawy Bogdana

² *Naukowa wspólnota uczących się. XXX-lecie Letniej Szkoły Pedagogów przy Komitecie Nauk Pedagogicznych PAN*, red. Ewa Bochno, Alicja Korzeniecka-Bondar, Białystok: Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku 2016.

Nawroczyńskiego, Zygmunta Mysłakowskiego, Henryka Rowida, Józefa Mirskiego, Kazimierza Sośnickiego, Sergiusza Hessena, Stefana Szumana i in.³ Jego analizy są bez wątpienia wyjątkowe, niezwykle cenne dla humanistyki. Nie trzeba tego podkreślać obrażając innych i imputując im brak takiego zainteresowania, głębi recepcji, metateoretycznych analiz itp. Tworzyć można nawet do ostatniego tchnienia życia i nie trzeba tego czynić pod wpływem tej czy innej lektury. Na szczęście humanistyka rządzi się wolnością także doboru źródeł i metod ich interpretacji. Nie musimy podporządkowywać własnych badań jedynie słusznej i wartościowej dla tego autora kategorii dwoistości. On już tego dokonał i wystarczy. Być może kolejne pokolenia dokonają innego odczytania czy nawet zaprzeczają jego argumentacji. Tak rozwija się nauka, nie na ukrytym czy normatywnym zobowiązaniu do jej uprawiania.

Naukowców nie trzeba do niczego przywoływać, bo ich praca badawcza musi być – jak pisze o tym zresztą sam Witkowski – wynikiem osobistej pasji, wysiłku, erudycji, inicjacji i wirtuozerii. Nie oczekujemy, że wszyscy mogą być czy nawet będą wirtuozami, bo w ten sposób fałszujemy rzeczywistość kulturową i kognitywną. Jak słusznie pisze ten autor: *Humanista nie uniknie ani źródłowych powrotów, ani uwspółcześnionych dzięki nim przewrotów, gdy odważy się czytać wielkich ponad głowami ich następców, nie zawsze zdolnych oddać im sprawiedliwość w nowych kontekstach* (s. 21). Mam nadzieję, że czytelnicy, o ile tacy znajdują się w środowisku akademickim XXI w. odczytają także tę rozprawę Lecha Witkowskiego ponad jego normatywnym zobowiązaniem i wykorzystają ją do swoich własnych badań. Warto czytać wszystkie rozprawy Lecha Witkowskiego, tylko nie dajmy się uwieść jego insynuacjom, generalizacjom i toksycznym miejscami imperatywom moralnym, skoro niektórym sam w swoich książkach zaprzecza.

³ L. Witkowski, *Przełom dwoistości w pedagogice polskiej. Historia, teoria, krytyka*, Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls” 2013.